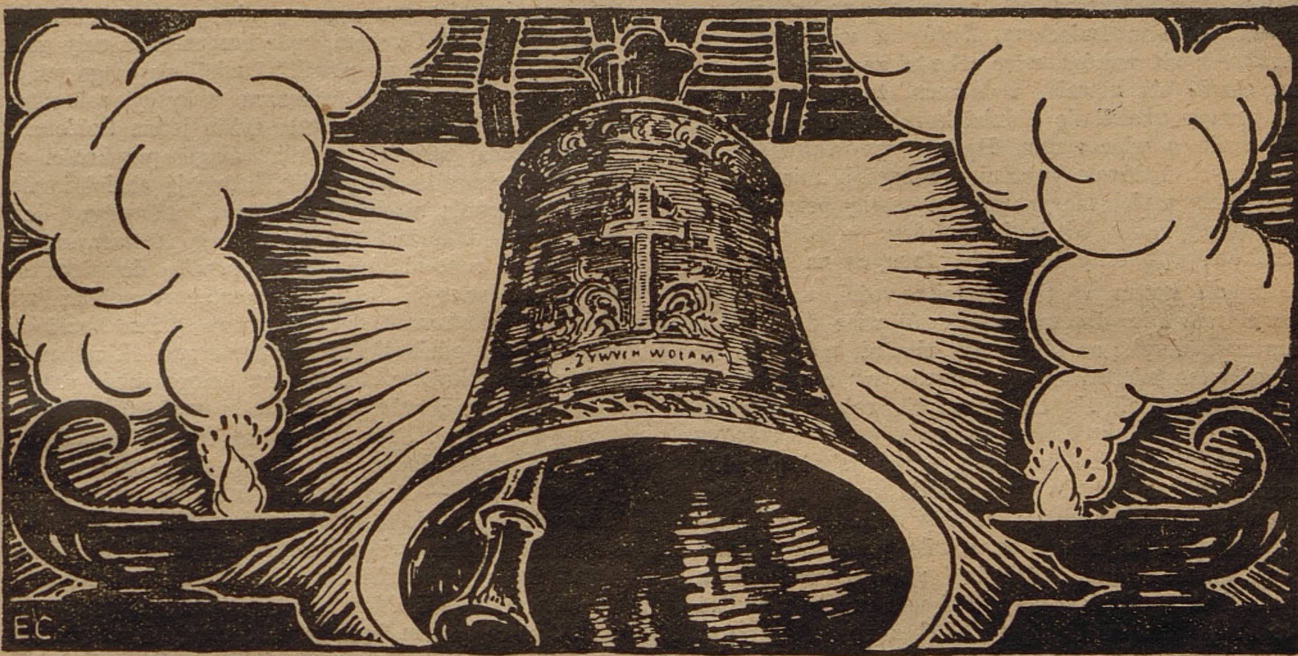
Należytość pocztowa opłacona ryczałtem. Cena 20 groszy.

Nr. 16. Kraków, 18 kwietnia 1926. Rok II.



DZWON NIEDZIELNY

ILUSTROWANY TYGODNIK KATOLICKI.

Przedpłata wynosi:
na cały rok 7 zł, na pół roku 4 zł, na kwartał zł 2·20.
Numer pojedyńczy 20 groszy.
W Ameryce 2 dolary. — We Francji 30 fr.
W Danji 7 koron.
Każdorazowa zmiana adresu 50 gr.

Redakcja i Administracja:
Kraków, ul. Sienna 5.
Nr. P. K. O. 404.712.
Reklamacje niezapieczętowane wolne są od opłaty pocztowej.

Ceny ogłoszeń:
Cała strona 120 zł — pół strony 60 zł.,
1/4 „ 30 „ — 1/8 „ 15 „
Za jednołamowy wiersz mm. 30 groszy, w tekście 3 razy drożej. — Nadesłane 50% drożej

Co zdziała odwaga?

Był to rok 1905, rok krytyczny dla państwa rosyjskiego, bo przyniósł ze sobą przegraną w wojnie japońskiej. Wywołało to w całem imperjum ogromny zamęt, jak gdyby małą rewolucję. Rozboje, napady na pociągi, na biura urzędowe, na poczty i monopole wódczane były na porządku dziennym, wreszcie urządzono na wszystkich kolejach strajk ogólny. Wszystkiem tem kierowała partja socjalistyczna, przybrawszy sobie do czynnej pomocy wszelkie męty społeczne. Widząc złe skutki takiej agitacji, zwolennicy porządku zaczęli się też organizować i pod wodzą ks. Jakowskiego i ks. M. Godlewskiego zawiązali Stowarzyszenie Robotników Chrześcijańskich. W związku tym, który miał swoich członków głównie w Częstochowie i w Warszawie, przeważały kobiety — robotnice fabryczne, dając nieraz dowody heroicznego zaiste męstwa. Po fabrykach urządzano wtedy ciągłe wiece socjalistyczne. Pewnego razu do fabryki na Woli pod Warszawą wpada żydówka, eskortowana przez dwóch wyrostków chrześcijańskich, wskakuje na stół, znajdujący się obok maszyny i ogłasza, że chce przemawiać. Lud roboczy, bierny, jak zwykle, skupia się około zaimprowizowanej estrady. Zanim jednak żydówka zdążyła się odezwać, jedna ze związkowych wchodzi na swoją maszynę. „Jak równość, to równość!" Krzyknie donośnym głosem: „Będziesz ty przemawiać, będę i ja!" — „Ależ nie możemy mówić razem" — zwraca się do niej zdetonowana trochę żydówka. — „Proszę, niech towarzyszka zaczeka, aż ja skończę". „Tak! — woła robotnica — jak ty nabluźnisz na Pana Boga i na Kościół, jak naszkalujesz na księży, to ja dopiero wtedy mam gadać? Nie! Będę mówiła wedle równości, razem z tobą!" — „My nie występujemy przeciw Kościołowi, tylko przeciw wyzyskiwaniu robotników — sumitowała się agentka. — Owszem,

my Kościół uznajemy". — „Słyszyta ludzie, żydzi uznają Kościół" — woła robotnica chrześcijańska, a cały tłum fabryczny już rozbawiony tą sceną, wybucha ogólnym śmiechem. Żydówka widzi, że tym razem nic nie wskóra, więc schodzi ze stołu i w jednej chwili się ulatnia, zwłaszcza, że na podwórzu fabrycznem ukazał się oddział kozaków, ostrzeżonych widocznie o wiecowaniu. Dwóch wyrostków, towarzyszących żydówce, robotnice wciągnęły między siebie, zdarły z nich marynarki i postawiły przy maszynie, by wyglądali, jak inni robotnicy; po odejściu zaś kozaków, wypuściły ich zawstydzonych na wolność.

Innym razem w tejże miejscowości, agitatorzy, chcąc wreszcie doprowadzić swój wiec do skutku, zamknęli fabrykę na klucz, aby nikt nie mógł uchylić się od uczestnictwa. Gdy „towarzysz" z wysokości maszyny zwrócił się do obecnych, robotnice związkowe w mgnieniu oka uformowały mu wtór: Jedna zaintonowała głośno antyfonę, druga jakąś piosnkę, trzecia na całe gardło recytowała swój pacierz, co której przyszło do głowy. Między obecnymi zakotłowało się jak w ulu, a w chwilę potem wybuchła eksplozja śmiechu. Mężczyźni porwali dziewczęta i puścili się z niemi w tany, inni solo poczęli wywijać oberka i wiec znów się rozbił bez złych skutków. Tylko odchodząc, jedną robotnicę poturbowali socjaliści żelazem.

W papierni, w Soczewce pracowało sto kilkadziesiąt robotnic stowarzyszonych i miały wielkie uznanie u właścicieli, bo wykryły systematyczną kradzież żydowską w materjałach. Otóż razu pewnego socjaliści zapowiedzieli wiec, grożąc, że kto nie przyjdzie, tego głowa spotka się z kulką. Wobec takiej groźby nie można już było wiecowi przeszkodzić. Związkowe zeszły się także i trzymały się razem w jednej grupie. Zebranie odbywało się w otwartem polu. Mówca wszedł na kamień i rozpoczął swoją orację. Dopóki mówił tylko o poprawie materjalnej, robotnice chrześcijańskie słuchały, ale gdy zaczął dotykać księży, cała ta gromada wrzasnęła, niby jeden mąż: „Precz z mówcą!" Zrobiło to wielkie wrażenie, tem większe, że jedna z robotnic miała głos basowy, jak mężczyzna, a inne starały się ją naśladować. Wiec został przerwany, ale mówca zdążył zapowiedzieć, że kto jutro otworzy fabrykę, ten niechybnie nadłoży głową. Nasze bohaterki, niczem nieustraszone, idą nazajutrz wszystkie do roboty. Odźwierny zawraca je i wzbrania się otworzyć, ale one odebrały mu klucz przemocą i weszły. Gdy się zaroiło od 130 robotnic, to inni także nabrali otuchy. Po chwili przyszli wszyscy, wzięli się do roboty i nikt kulką nie dostał. Tylko znowu jedna stowarzyszona przelała krew dla sprawy, bo została z nienacka napadniętą i pobitą.

Na Pradze pod Warszawą w fabryce „Wulkan" były tylko trzy robotnice chrześcijańskie, ale mężnego ducha, zwłaszcza jedna z nich, Julja G., uważana za herszta przez „socjałów". Pewnego razu przychodzą oni zapisywać do partji i oznajmiają, że kto się nie zapisze, nie będzie miał pracy. Robotnicy jeden za drugim podają ze strachu swe nazwiska i pozwalają się zapisywać. Na sam ostatek agenci przychodzą do związkowych. „Co! wrzaśnie mężna dziewczyna, ja mam dla roboty zdradzać Pana Boga? Niedoczekanie wasze! Czy to tylko socjały mają robotę?!" „Cicho, cicho!" uspokaja ją towarzysz z partji, obawiając się, aby mu sprawy nie popsuła. „Co! Ja mam być cicho! Owszem, będę krzyczeć na cały głos, że się nie zapisuję do partji!" I mieli się czego socjaliści obawiać, bo do wieczora wszyscy robotnicy wykreślili się z listy, została tylko jedna kobieta.

Ta sama Julja G. znosiła ciągłe przykrości od jednego robotnika „z partji", który ją chciał koniecznie na swoją stronę przeciągnąć. Pewnego dnia kozacy wpadają do fabryki i szukają „towarzyszów", co widząc robotnik chowa się prędko do pieca od wypalania naczyń. Julja G. pracując w pobliżu, widziała to doskonale, lecz zapytana przez kozaków, czy nie wie, gdzie się obraca towarzysz N. odpowiedziała ze spokojem: „Ja tam za chłopami nie patrzę, tylko za swoją robotą. Idźcie do majstra, on wam powie najlepiej". „Towarzysz" na ten raz ocalał, nie przestał jednak dokuczać Julji G., a w końcu nazwał ją „szpiclem". — „Czy dlatego mnie tak przezywacie, żem was nie wydała kozakom?" rzekła do niego. — „Przecież dobrze widziałam, żeście wleźli do pieca, a później wyskoczyli z niego, niepodobni do człowieka, tylko do djabła".

Wkrótce potem była nowa rewizja i wszystkich winnych, czy niewinnych wzięto na 24 godzin do aresztu. Rodzina Julji G., troszcząc się o nią, przyniosła jej spory zapas pożywienia, podczas gdy ów robotnik omdlewał prawie z głodu, bo towarzysze z partji bali się go wspomagać, aby ich nie aresztowano. Widząc to, zacna dziewczyna użyczyła mu ze swoich porcji, a nawet obdzieliła innych socjalistów, którzy również znikąd pomocy nie mieli.

Kto wie, może właśnie ten miłosierny uczynek był ziarnem, spadłem na dobrą rolę; niedawno bowiem, rok, czy dwa lata temu, spotkała się z tym człowiekiem w Warszawie i oniemiała ze zdumienia. Robotnik podszedł do niej, pochwalił Pana Boga, pocałował ją w rękę, dopytując się o jej powodzenie, a wkońcu dodał: „Żeby to więcej było takich kobiet, jak pani. — Już nie jestem socjałem" — i opowiedział jej o swoich przejściach, które go ostatecznie naprowadziły na dobrą drogę.

Stowarzyszenie wywierało przeto, jak widzimy, wielki wpływ na ludność fabryczną, imponując swoją odwagą i niewzruszonością przekonań. I to także odnosiło dobry skutek, że w potrzebie wspomagano nietylko związkowych, ale i wszystkich bez wyjątku. Czy zachorował „socjał" czy nie „socjał", w tej chwili wyznaczone osoby zjawiały się na usługi. Nikogo też nigdy nie wydawano, owszem, nawet winnych osłaniano przed rządem.

To też, kiedy socjaliści naznaczali swoje święta, a narodowcy swoje, lud fabryczny szedł do kościoła tam, gdzie poszły robotnice chrześcijańskie. Gdy te po nabożeństwie udawały się do fabryk, to i oni szli do pracy, a jeśli one do domu, to i oni do domu. Stąd nienawidzili ich socjaliści i śmiercią im odgrażali, ale Pan Bóg otaczał je widoczną opieką i ani jednej ofiary nie było.

St. K.

Ewangelia na niedzielę II. po Wielkanocy.

Ewangelia według św. Jana, rozdz. X.

Onego czasu mówił Jezus do Faryzeuszów. Jam jest pasterz dobry. Dobry pasterz daje życie swoje za owce swoje. Lecz najemnik i ten, który nie jest pasterzem, którego nie są owce, widząc wilka, porzuca owce i ucieka, a wilk porywa owce i je rozprasza. Najemnik zaś ucieka, ponieważ jest najemnikiem i niema pieczy o owcach. Jam jest pasterz dobry: znam moje i znają mnie moje, jako Ojciec mnie zna i jako Ja znam Ojca. Mam jeszcze inne owce, które nie są z tej owczarni: Trzeba również, abym je przywiódł, aby i one usłyszały głos mój, aby była jedna owczarnia i jeden pasterz.

Z LITURGIKI

Na II-gą niedzielę po Wielkanocy.

DOBRY PASTERZ.

Msza św. drugiej niedzieli po Wielkanocy jest pod wrażeniem myśli, zawartej w zdaniu: „Jam jest pasterz dobry“. W tem powiedzeniu streszczona jest nietylko miłość Chrystusa — Głowy, Pasterza ku swym owieczkom — duszom wiernym, ale całe dzieje zbawienia. Sam Kościół św. ze swemi Sakramentami, urządzeniami i swą liturgją jest dowodem dobroci Niebieskiego Pasterza.

„Znam owce swoje“. Ile ukrytych i dla rozumu ludzkiego niedostrzegalnych dowodów miłości mieści się w tych słowach. Jaka tu struna, drgająca uczuciami i współczuciami z naszą nędzą i opłakanym stanem na ziemi.

„Znam owce swoje“, któż z ludzi, który król, naczelnik, który nawet ojciec może tak powiedzieć, że zna swych poddanych, swoje dzieci? „Znam owce swoje“: trudów, męki, życia nie szczędził, żył dla owczarni, dla niej pracował, za nią życie położył, siebie dał na pokarm — i został niewidzialnym jej Pasterzem aż do końca świata. Dlaczego tak uczynił, bo znał owce-ludzi, ich niedomagania, potrzeby i winy, błędy i słabości. Tylko miłość matki ku dziecku ma coś podobnego do miłości Dobrego Pasterza ku owczarni — wiernym wyznawcom i członkom Kościoła. Pasterz dobry daje życie swoje za owce swoje. Prowadzi je na dobrą i zdrową paszę, karmi je nauką, prawdami z nieba przyniesionemi, Swem Ciałem w Komunji św. Dobry Pasterz — nie jest najemnikiem. Te słowa nie potrzebują wyjaśnień. On nas obronił przed wilkiem-szatanem; nie wszedł ani się ukrył przed nadchodzącymi wrogami; owszem wyszedł naprzeciwko nich, mówiąc: oto mnie macie. „Jeśli tedy mnie szukacie, pozwólcie odejść (spokojnie) apostołom“ (Jan 18[8]).

Sam się pozwolił pojmać, byle tylko owieczki ocalić. W Wielkim Tygodniu przypominał nam Kościół tę wielką miłość ku nam Pasterza Dobrego. Prawda, że przy Jego pogrzebie w Wielki Piątek smutno było śpiewać: „Odszedł Pasterz nasz, źródło żywej wody... ale poszedł zburzyć zamki piekła i wywrócić moce szatańskie“. Trzeciego dnia wrócił do swych uczniów. Jednemu z nich, po trzykrotnemu zapytaniu, czy Go miłuje powiedział: „Paś owce moje, paś baranki moje“.

Dziś Kościół, jakby w zadowoleniu i zdumieniu powtarza te błogie słowa Zbawiciela: „Jam jest pasterz dobry“ nietylko w Ewangelji, ale i w Graduale i Komunji; „znam owce moje i one mnie znają, alleluja“.

Oto powód do radości i wesela w czasie wielkanocnym. — Dobry Pasterz — Bóg - Człowiek uniżył się, czego żaden ziemski pasterz nie uczynił dla swych owiec, tego on dokonał: „poniżył się, aby podźwignąć świat upadły“ (kolekta). Ale Dobry Pasterz dalej jeszcze sięga Swą miłością i gorliwością; swem miłującem sercem obejmuje i te owce, których dotąd niema w owczarni, „i one potrzeba, abym przywiódł. I słuchać będą głosu mego“ (Jan 10, ewang. dziś).

„Owce moje, znają mnie“. To wynika z poprzedniego porównania: gdzie ze strony pasterza tyle dowodów miłości, dobroci, wyrozumiałości i troski, tam trudno, żeby się owce na tem nie poznały, nie odczuły tego. Dzieje świata chrze-

ścijańskiego świadczą o tem, że do Jezusa i do Jego namiestnika w Rzymie uciekały się różne ludy, napastowane przez wilków, prześladowców, heretyków i wichrzycieli religijnych. „Uczcie się odemnie cichości i pokory, a znajdziecie odpocznienie duszom waszym“. Oto pokarm dla duszy, oto lekarstwo, oto środek do zdobycia szczęścia i spokoju wewnętrznego.

Św. Piotr, który najwięcej może doznał dobroci swego Mistrza, i przez Niego Pasterzem całego Kościoła mianowany został, dobitnie zaznacza w dzisiejszej lekcji cierpienia, trudy „Dobrego Pasterza“, „który, gdy mu złorzeczono, nie złorzeczył, gdy cierpiał, nie groził. Sinością Jego jesteście uleczeni. Boście byli jako owce błądzące, a teraz jesteście nawróceni do pasterza... dusz waszych“ (1 Piotr 2²¹-²⁵).

Czyśmy dobre owieczki? Czy szukamy Pasterza Jezusa-Boga, tak jak to wyraża Dawid słowami: „Boże, Boże mój, o świcie szukam Ciebie. Ku chwale imienia Twego będę podnosił ręce swoje“ (Psalm 62. Offertorium). Uczniowie poznali Chrystusa po łamaniu chleba, my Go możemy poznać w Kościele po Jego nauce i skutkach, jakie ta nauka sprowadza w duszy. Czy Go znamy? Od 2000 lat blizko istnieje Jego owczarnia: Kościół, a w Niej jeden Pasterz, jedna nauka, jedna wiara i jeden chrzest.

Tam zdroje łask płyną, tam chleb żywota, tam nauka zdrowa, a to wszystko pokarm dla dusz naszych. Czy słuchamy tego Pasterza, czy idziemy za Jego głosem? Dobre owce z owczarni nie wychodzą, poza owczarnią nie wałęsają się, wilkom na spotkanie nie idą, słuchają swego Pasterza, idą za Nim, myślą i pamiętają wszędzie o Nim. Kto po pewnym czasie ucieka z owczarni, opuszcza katolicyzm, zmienia wiarę, raczej porzuca, ten pewnie nigdy nie był dobrym i wiernym katolikiem. Kto przestał kochać, ten nigdy nie kochał.

Dążeniem naszem powinno być, by zjednoczyć się z Pasterzem i zawsze przy Nim być. W owczarni Chrystusowej — Kościele katolickim nieustannie płyną modły, a jedna prośba w nich przeważa, najczęściej się powtarza, „byśmy Chrystusa w niebie oglądali“.

Dobry Pasterz! Na łąkach wiecznej szczęśliwości złączymy się z Nim na zawsze; tam On będzie naszą rozkoszą, radością i pokojem. Tam nie będzie wilków, napastników, ale tu na ziemi krążą i szukają sposobności, by poszarpać nam cnotę i sumienie zranić. **X. M. K.**

———oOo———

Opowiadanie misyjne.

„Leboma wa“...

Upłynęły dwa miesiące od chwili, w której ks. Biskup powierzył mnie mojemu przełożonemu i mojej szczęśliwej gwieździe. Przez ten krótki czas usiłowałem przyswoić sobie najpotrzebniejsze słowa miejscowego narzecza i pewnego pięknego poranku poprosiłem o pozwolenie odbycia pierwszej wycieczki do wiosek okolicznych.

— Przedewszystkiem nie bądź nieroztropnym, miej się na baczności i wracaj przed zachodem słońca — ostrzegał mnie mój przełożony.

Pierwsze przyjęcie, z jakiem się spotkałem we wiosce, było raczej lodowate.

Jako młodziutki misjonarz, świeżo wyszły z seminarjum, przepełniony marzeniami o nawróceniu „mej czarnej oblubienicy“, jak nazywałem szczep mbochi, śmiałem się ukradkiem z przestróg przełożonego. Był to poranek wiosenny, dzień 28 kwietnia, jeśli mnie pamięć nie myli. Wyruszyłem, prowadzony przez kilkoro dzieci, wykupionych po 60 lub 80 franków za tuzin! Jedno z nich niosło mój obiad w koszyczku, drugie zaś moją strzelbę.

Przebyłem równinę długości paru kilometrów, porośniętą cieniutkiemi trawkami, chylącemi się pod powiewem rannego wietrzyku. Słońce świeciło jasno, nie paląc jeszcze zbyt dokuczliwie. Krótko mówiąc, miałem duszę pełną radości, a przyroda cała grała mi do wtóru: Przecież po raz pierwszy miałem w życiu wprowadzić marzenia lat chłopięcych i młodzieńczych, marzenia, towarzyszące mi nieustannie w pierwszych czasach kapłaństwa mego. Już z poza firanki leśnej zieleni, przesłaniającej mi widok najbliższej wioski, dolatywały mię perliste śmiechy dzieci, bawiących się wśród dzikiej wioszczyzny, jak nasze chłopięta na placach miejskich i przyspieszałem kroku z pragnieniem, by móc co rychlej pogłaskać i upieścić ich kędzierzawe główiny, zobaczyć starców i staruszki, puścić się już nareszcie w ten świat nieznany, być już raz przecie misjonarzem prawdziwym.

Las był zalany — zmuszony więc byłem wejść do wody, co uczyniłem odważnie pod przewodnictwem małych moich towarzyszów, którym sięgała ona aż do ramion, podczas gdy mnie po pas zaledwie. Był to długi korytarz wodny, okolony z obu stron dużemi drzewami, z których zwieszały się w pełnych wdzięku girlandach wspaniałe ljany, podobne do wężów olbrzymich.

Byłem szczęśliwy: przeżywałem marzenia moje, czyli raczej miałem zacząć żyć wymarzonem życiem i wpadłem w błogą zadumę... gdy nagle przecinając odrazu złotą nić marzeń wszelkich, przeleciał mi tuż przy twarzy dziryd i utkwił opodal w błocie wodnistem, podczas gdy o jakie cztery metry odemnie plusk nagły i pospieszna ucieczka zdradzały zamach uczyniony: olbrzymi dziki, mający za całe odzienie przepaskę na biodrach z wiszącym u niej nożem, uciekał szybko, widząc, iż spudłował.

Nie ochłonąłem jeszcze, gdy już miałem go

Co Hodur uczy o Papieżu?

W święta odwiedził mnie syn moich znajomych, z którymi się już dawno nie widziałam, bo przeprowadzili się na drugi koniec miasta, aż na ulicę Zwierzyniecką. Od słowa do słowa dowiedziałam się, że chodzi teraz na nabożeństwa do pobliskiego „kościoła“ Hodurowego. „Przecież to jedno — dodał chłopiec — bo tam jest wszystko po naszemu: tylko Msza odprawia się po polsku i nie uznajemy **świętości** Papieża“. — „Jakto **świętości?**“ — „Nie nazywamy go Ojcem **Świętym**. I rzeczywiście, to mi się nie wydaje, żeby się człowiek za życia jeszcze kazał świętym nazywać“. Tłomaczę 18-letniemu chłopcu, jak mogę, że tytuł Ojca Świętego odnosi się do świętości jego **urzędu**, a nie osoby. Papież, jako człowiek, jest zdolny do grzechu, dopiero po śmierci, na tych samych prawach, jakie są ogólnie postanowione, może być kanonizowany, jeżeli na to cnotami swojemi zasłużył i jeśli Pan Bóg cudami to potwierdzi. Tak np. teraz dopiero zamyślają o beatyfikacji Ojca Świętego Piusa X. i jeszcze dużo czasu może upłynąć, zanim zostanie ogłoszony Świętym. „A to co innego“ — brzmiała odpowiedź — ale tam jeszcze tłomaczą na kazaniach, że Pan Jezus nie kazał się obnosić w lektyce, tylko chodził boso, choć lektyki już wtenczas istniały; a papieże obnoszą się nad głowami ludzi, co wcale nie świadczy o ich pokorze“.

Znowu w kilku słowach dałam chłopcu odpowiedź, ale uważam, że ta sprawa potrzebuje szerszego wyjaśnienia, aby ktoś więcej jeszcze mógł z niej korzystać.

1) Każdy wielki człowiek, każdy genjusz zaczyna swoją działalność w cichości i wiele lat upływa, zanim doczeka się sławy; najczęściej jednak oceniany bywa dopiero po śmierci. Wtedy piszą o nim, stawiają mu pomniki i t. p. Im zaś więcej zapoznany był w ciągu życia, tem większe czynią mu honory po zgonie, tem hojniej sypią się na jego grób kwiaty.

Pan Jezus w początku swego Boskiego dzieła, kiedy niemal po jednemu zbierał do siebie uczniów, absolutnie o formy się nie troszczył. Jednak nie odrzucał dobrowolnego uczczenia, wymówił faryzeuszowi, że nie obmył nóg Jego, ani Mu nie dał pocałunku na przywitanie, a Magdalenę pochwalił, gdy drogim olejkiem skropiła Jego nogi i obiecał, że czyn jej będzie ogłaszany aż do skończenia świata. Kiedy zaś właśni Jego uczniowie, nie oświeceni jeszcze wtedy (jak Hodur), szemrali na tę rozrzutność pod pozorem, że za cenę olejku można było nakarmić wielu ubogich, odpowiedział im Pan Jezus: „Ubogich zawsze między sobą macie, a mnie nie zawsze“. Papież jest zastępcą Jezusa Chrystusa na ziemi, więc cześć oddawana Papieżowi odnosi się do samego Chrystu-

---

na celu: sekunda, a padnie na miejscu, jak królik. Lecz nagle uderzyła mnie myśl błyskawiczna: „Jesteś kapłanem i misjonarzem — nie przyszedłeś zabijać!“ I wnet spuściłem strzelbę. Było to mojem ocaleniem, a także początkiem mego apostolstwa.

Zabrałem sobie dziryd na pamiątkę i zawróciwszy, miałem właśnie wyjść z lasu, gdy, o zdumienie! Widzę naraz przed sobą, na ścieżce, którą zamierzałem powracać do stacji misyjnej, bandę pięćdziesięciu dzikich uzbrojonych w noże i dzirydy, najwyraźniej na mnie oczekujących.

Na mój widok zabrzmiał straszny okrzyk wojenny, tak przeraźliwy, że go póki życia nie zapomnę.

Nie znając dobrze miejscowego języka, sam z 10 i 12-letnimi malcami przeżyłem chwilę trwogi najwyższej, a myśląc, że to już moja ostatnia godzina, z głębi serca wzbudziłem akt żalu za grzechy.

Zapewniwszy sobie w ten sposób na wszelki wypadek pomyślne wejście w świat nadprzyrodzony, zastanowiłem się, jakby to wybrnąć z tego położenia bez wyjścia. Co robić? Nadrabiać miną? Miałem sześć ładunków ze śrutem. Wykonuję więc śmiało ogromny skok naprzód, odległości jakich 50 metrów, trochę dlatego, by im zaimponować, ale zwłaszcza po to, by uniknąć napaści grożącej mi z tyłu, słyszałem bowiem mego napastnika, wyjącego w lesie dwa słowa, których nie rozumiałem wprawdzie, lecz odgadywałem ich znaczenie: „Leboma wa! leboma wa!“ Zabijcie go! zabijcie go! — powiedziałem sobie — to jest jasne.

Tymczasem dzicy, bynajmniej nie onieśmieleni moją złudną ofenzywą, zaczynali swój strategiczny manewr, dążący do okrążenia mnie wielkiem zrazu, a coraz to bardziej zacieśniającem się kołem. Jeszcze kilka minut i padnę przekłuty kilkudziesięciu włóczniami. Szybko więc zakreślam na prawo i lewo granice, których pod karą śmierci przekroczyć im nie wolno. Jeden z dzikich przestępuje mój zakaz: biorę go na cel, strzegąc się pilnie, aby przypadkiem nie wystrzelić: pomyślcie tylko: o więcej, niż sto metrów zwyczajnym śrutem! Czarny cofa się, przerażony. Dobrze! mówię sobie, boją się; gdybym tak zaczął parlamentować?

Oddaję więc strzelbę jednemu z chłopczyków i robię znak ręką, że chcę przemówić. Krzyki i wycia ustają, naczelnik wysuwa się sam, bez broni. Tłomaczę mu, jak umiem najlepiej, że przybywam do nich jako przyjaciel; na dowód pokazuję mu tytoń, który mu daję, a on przyjmuje go z radością. Inni zbliżają się uzbrojeni. Pilnuję ich z pod oka, a dopuściwszy na odległość jakich 30 metrów, rzucam im pozostałych kilka rulonów tytoniu. Chwytają je wszyscy w ogólnem zamieszaniu, rozrywając chciwie pożądaną zdobycz.

Byłem więc uratowany, ale wzruszenia przebyłem straszne i wskutek nich kilka dni miałem jakieś bolesne pragnienie, niczem nie dające się ugasić.

sa i ma Mu właśnie wynagrodzić wszelką wzgardę i obelżywość, jaką sam poniósł za życia i jaką wciąż ponosi od swoich wrogów: Hodur i t. p.

2) Ojciec Święty jest przedmiotem miłości wszystkich chrześcijan z całego świata, którzy po to do Rzymu przybywają, aby go choć raz w życiu zobaczyć i jego błogosławieństwo otrzymać. Istnieje nawet przysłowie do tego zastosowane: „Był w Rzymie, a nie widział Papieża“.

Papież absolutnie nie mógłby wszystkich przyjąć na audjencji prywatnej i każdego z osobna błogosławić; to też, jak Chrystus Pan, gdy już wielkie rzesze za nim postępowały, albo odpływał na łódce od brzegu, albo najczęściej wchodził **na górę**, aby był widziany i słyszany przez wszystkich, tak Ojciec Święty bywa obnoszony po bazylice w t. zw. sedia gestatoria, aby go wszyscy widzieli, aby mógł na głowy wszystkich zlewać błogosławieństwo niebios, a także wszystkim poświęcić pamiątki.

Chyba teraz, mój drogi bracie, zrozumiałeś cel tego obrządku, który nie ma nic a nic w sobie przeciwnego pokorze. Zato wielce przeciwne pokorze i rozumowi jest przekładanie Hodura nad Papieża, bo Hodur to tylko Hodur, a Papież ma lat 1900 i tradycję i naukę wszystkich wieków chrześcijaństwa, a nadto ma za sobą słowa Pana Jezusa: Kto was słucha, mnie słucha, kto wami gardzi mną gardzi.

Regina Sękarówna.

Dewoci i dewotki.

Mówi się nieraz i pisze z oburzeniem o t. zw. dewotach i dewotkach, ale przyznać należy, iż oni nieraz wcale nie wiedzą, co im się ma do zarzucenia, błądzą bowiem nie ze złej woli, ale z nieświadomości religijnej. Czy będziemy ich za to potępiać? Wszak nieświadomość w rzeczach religijnych to cecha 99% dzisiejszych katolików. Oddajmy więc im lepiej braterską przysługę uświadomienia, powołując się w tym celu na teksty Pisma Świętego.

Treść dewocji określa w liście swoim św. Jakób: „Jeśliby kto mówił, że miłuję Boga, a nie miłowałby brata swego, **kłamcą jest** i prawdy w nim nie masz“. Chodzi przeto o ustalenie stosunku pomiędzy miłością Boga bezpośrednią, czyli **czcią**, a miłością Boga w bliźnich, czyli **pełnieniem Jego woli.** —

I znowu Pismo Święte przychodzi nam z pomocą, nauczając, że **„lepsze** jest posłuszeństwo, niżeli ofiary“. A więc nietylko miłość Boża nie może nigdy istnieć kosztem miłości bliźniego, ale nawet jakgdyby ustępuje tej ostatniej pierwszeństwa. Dotyczy to przedewszystkiem pełnienia podjętych obowiązków: społecznych, rodzinnych, służebnych. „Jeśli chcesz złożyć **dar na ołtarzu“**, czyli brać udział w nabożeństwach, sakramentach św. i innych ćwiczeniach pobożnych zwłaszcza nadobowiązkowych, „a wspomnisz, że brat twój ma coś przeciwko tobie“, boś nie dopełnił tego, coś był winien „odłóż dar twój“, **a idź pierwej zrobić, co do ciebie należy“,** „ potem przyszedłszy, ofiarujesz dar twój“. Tu nie potrzeba nawet przykładów, bo rzecz jest aż nazbyt jasna i codzienna.

Ale jest jeszcze druga cecha dewocji, trudniejsza do zrozumienia. „Kto się nie zaprze dla **duszy swojej,** nie jest mnie godzien“ „Kto dla mnie straci **duszę swoją“** — odnajdzie ją“. Znaczy to, że należy baczyć, czy przez sam nasz udział w nabożeństwach, Sakramentach św. i innych objawach czci Bożej nie przeszkadzamy w tych rzeczach bliźnim, bardziej potrzebującym. Postaram się to wyjaśnić.

Weźmy takie wielkie fabryczne miasto, jak Łódź, gdzie do niedawna były tylko dwa kościoły. Gdyby dusze pobożne w Łodzi zamieszkałe, chciały z pobożności słuchać w niedzielę i święta dwóch Mszy świętych, popełniałyby nieświadomą zbrodnię, choćby nawet należały do Arcybractwa Mszy św. wynagradzającej — gdyż przez to tamowałyby przystęp do kościoła tym bliźnim, którzy daleko bardziej od nich Mszy św. potrzebują. Lecz i w Krakowie, gdzie tyle mamy kościołów mogą się zdarzyć i zdarzają się podobne okoliczności. Są bowiem niektóre nabożeństwa, nowenny i t. p., uczęszczane chętnie nawet przez tych, których w innym razie trudno bardzo do kościoła pociągnąć. Niestety, dewoci, zwłaszcza dewotki wchodzą im w drogę, zapełniają kościół i pozbawiają bliźnich swoich możności usłyszenia słowa Bożego, a kto wie nawet, czy nie łaski nawrócenia.

Naprzykład: Odprawiają się doroczne rekolekcje, przeznaczone oczywiście dla tych zwłaszcza, którzy się raz na rok spowiadają. I znów powtarza się ta sama historja. Mniejsza o to, o ile kościół wszystkich obejmie, ale gdy się ludzie nie mogą pomieścić — dewotki biorą na siebie odpowiedzialność za ich zbawienie. To samo przy spowiedzi wielkanocnej. Konfesjonały oblężone, księża słuchają do godziny 10-tej wieczorem — a dewotki, które cały rok co tydzień się spowiadają, bez żadnego skrupułu wchodzą w drogę „roczniakom“. To już prawdziwe zaślepienie. „Kto się **nie zaprze duszy swojej“** dla dobra bliźniego „nie jest mnie godzien“. „Kto dla mnie **straci** duszę swoją — odnajdzie ją“.

Pobożność prawdziwa jest zawsze apostołką: „Tak niechaj świeci światłość wasza przed ludźmi, aby ... **i oni chwalili Ojca niebieskiego“. Pobożność fałszywa, czyli dewocja jest gorszycielką,** bo odstręcza od kościoła ludzi chwiejnych, nieoświeconych w rzeczach wiary, którzy myślą, że na takiej właśnie pobożności zasadza się religja katolicka i wskutek tego biorą ją w obrzydzenie. Apostolstwo, czyli miłość duszy bliźniego jest głównym probierzem pobożności, a więc i miłości Boga, wskazuje bowiem, czy w nabożeństwach, Sakramentach i innych ćwiczeniach pobożnych szukamy rzeczywiście Boga i Jego woli, czy też zadowolenia samych siebie.

Jedna i ta sama praktyka może raz być dowodem miłości Bożej, a drugi raz — w odmiennych okolicznościach — dewocją; wszystkiego bowiem można używać i nadużywać, nawet rzeczy najświętszych.

A więc drogi bracie lub siostro, skoro teraz wiesz, o co chodzi, to „czyń według tego — a będziesz i sam żył“ i bliźnich swoich do Boga pociągał.

Stanisław Kostka.

Plaga włóczęgostwa nocnego po wsiach.

(Z dziedziny wychowania).

Kilku chłopaków wieczorem wracało z miasta. Po drodze spostrzegli przy pewnym domu naczynie z terem. Zabrali je ze sobą i idąc zamazywali terem okna w domach, co przy drodze stały.

Inną razą gospodarz zostawił na noc wóz przy drodze ze sianem, przygotowanem na wywóz do Śląska. Rano znalazł wóz spuszczony do głębokiego dołu, wywrócony i połamany. Zrobili to chłopcy, włóczący się po nocy.

W innej wsi tacy nocni swawolnicy wystawili nocą pewnemu gospodarzowi wóz na szczyt domu.

Któżby wyliczył niewczesne żarty, których dopuszczają się takie włóczęgi. Żeby to chociaż na żartach się kończyło. Ale zwykle od żartów przychodzi do kradzieży drobnych i grubszych, przychodzi do nocnych awantur pijackich, przychodzi wreszcie do bezecnych i prostackich mów, brzydkich i niemoralnych uczynków. Można powiedzieć, że te nocne włóczęgostwa są dziś plagą wsi. Prawda, że bywało i dawniej tak nieraz, ale czy dawniej czy dzisiaj — zawsze to coś niedorzecznego i nieporządnego.

Skąd się te dzikie zwyczaje biorą?

Winę tu ponoszą przedewszystkiem rodzice. Gdy chłopiec podrasta, rodzice pozwalają mu wydalać się z domu i szukać gdzieś poza własnym domem rozrywek. „Niech się tam zabawi, niech tam odwiedzi kolegów“ — powiadają sobie. I koledzy się nocami zbierają. Tam grają na harmonji i tańczą, bo i dziewczęta w takich kompanjach zawsze się znajdą; tam znowu palą papierosy, prowadzą sprośne mowy i popijają; a tam wreszcie wybierają się na nocną wędrówkę i niepokoją śpiących, drażnią psy i wyprawiają wybryki na szkodę innych.

Otóż przedewszystkiem rodzice powinni zatrudniać dzieci tak, aby wieczorem pragnęły spoczynku, a nie wycieczek nocnych. Rozrywkę niech znajdą w domu własnym, w towarzystwie braci i sióstr.

Pod żadnym pozorem niech nie pozwolą chłopcom i dziewczętom podrastającym wydalać się wieczorami samowolnie z domu. Żadnym płaczem, żadną prośbą niech się nie dają wzruszyć. Najgorzej, gdy raz ustąpią. Gdy dziecko raz postawi na swojem przez swój upór, powaga ojca lub matki już jest złamana. Drugi raz będzie już trudniej oprzeć się synowi i córce, później nie pomoże ani klęcie, ani kij, a w końcu panem stanie się syn, a „stary“ musi siedzieć cicho.

Źle robią także rodzice, gdy w swoim domu cierpią nocne schadzki. Nieraz taki „kawaler“ ma pod nosem świeczkę, a już idzie w zaloty. Głupia matka, co ma córkę dorastającą o niczem nie marzy, jak tylko o wydaniu, więc każdego „kawalera“ widzi dobrze w swym domu i to nietylko za dnia, ale nawet w nocy.

Do nocnego włóczęgostwa przyczyniają się także schadzki, które urządzają sami rodzice. Oto dla skubania pierza, dla przędzenia, albo innej roboty urządzają u siebie wieczór. Ale nędzna to robota: śmiechy, żarty, śpiewki to rzecz główna, a robota niedbała i ladajaka, to tylko dodatek.

Starzy nieraz wygadują na te zwyczaje nocne, a zapominają, że tak wychowali swe dzieci sami.

Dziś rzadko jest sługa, któryby po nocach się nie włóczył. Nierzadko, godząc się do służby, zastrzega się, że „noc będzie jego“.

Niech to rodzice biorą pod uwagę! **P. Zarzycki.**

Przejście z prawosławia na katolicyzm.

W kościele XX. Misjonarzy na Nowej Wsi w Krakowie przyjęto na łono naszego rzymsko-katolickiego Kościoła prawosławną w drugie święto Wielkiejnocy.

Życie młodej konwertyki dziwnie się składało. W czasie ewakuacji wojennej, jako małe dziecko, oderwana od rodziców, straciła z nimi wszelką łączność i wychowywała się w głębi Rosji, w ochronce sowieckiej. Nie znała swego nazwiska, ani też nie wiedziała do jakiej religji przynależy. Wraz z jedną koleżanką przedostała się do Polski i zarabiała sobie na utrzymanie, pracując u różnych ludzi. Między innemi była też zajęta u jednego księdza katolickiego, który czynił poszukiwania za jej rodzicami, jednak bezskutecznie, gdyż nie znała ona swego nazwiska, jedynie pamiętała miejscowość, z której pochodziła, położoną daleko za Lublinem na Chełmszczyźnie. Dopiero przed paru miesiącami odnalazła rodzinę, ale tylko braci, gdyż rodzice jej już pomarli. Radość z odnalezienia rodziny była połączona z przykrą i niespodziewaną wiadomością, dowiedziała się, że jej rodzina, a więc też i ona sama jest prawosławną. Mimo trudności, robionych jej przez rodzinę, która starała się ją odciągnąć od zamiaru przejścia na katolicyzm, mimo pokus i obietnic, po dłuższej walce wewnętrznej, zdobyła się na niezłomne i święte postanowienie powrotu do Kościoła macierzystego. Nie dla zawarcia małżeństwa, nie ludzkiemi więc względami kierowała się przy przyjęciu Wiary naszej św. prawdziwej, ale tem, że tej wierze św. miała sposobność bliżej się przypatrzeć i — co za tem idzie — z pomocą łaski Bożej, do niej się przywiązać, ją pokochać.

Uroczystość zaczęła się od kazania, wygłoszonego przez ks. dr. L. Moskę, który w podniosłych słowach wskazał na żywotność Kościoła katolickiego, do którego wracają, choć nie z własnej winy odpadłe dzieci, jakby dla zawstydzenia niewiernych jego synów, dających posłuch namowom sekciarskim. Po kazaniu konwertytka śmiało, głośno wypowiedziała długą formułę wyznania wiary św., potem ksiądz, na mocy upoważnienia Najprzew. Ks. Arcybiskupa, zdjął z niej klątwę kościelną, ciążącą na niej, jako schizmatyczce. Nie zachodziła potrzeba udzielania jej Chrztu św., gdyż Chrzest, udzielony przez prawosławnych, też jest ważny. Przyjęta tak do Kościoła katolickiego poszła tylko do Spowiedzi św. i przyjęła Komunję św.

Niezwykła ta uroczystość kościelna wywarła wielkie wrażenie, widać było łzy w oczach niejednego z obecnych, a wszyscy wychodzili z kościoła, przejęci głęboką wiarą i szlachetną dumą z przynależności do Kościoła katolickiego.

Ks. M. Gieszczykiewicz, Z. M.

Pamiętajmy o misjach.



Mała rzecz a wstyd.

Mam na myśli plakaty o nabożeństwach, odpustach, pielgrzymkach, wykładach, odczytach, akademjach, zgromadzeniach, jednem słowem o wszystkich objawach życia katolickiego. Ogłoszenia te, naklejane prawie wyłącznie na drzwiach lub murach kościelnych, sterczą tam później całemi miesiącami, dopóki jakaś litościwa ręka ich nie zerwie lub nie naklei na to miejsce drugich. Z jednej strony wprowadza to w błąd publiczność, która się zatrzymuje dla przeczytania takich ogłoszeń, aby się z nich dowiedzieć o rzeczy dawno przebrzmiałej, — a powtóre zdradza pewne niedołęstwo i brak sprawności, charakteryzujące polską i to wyłącznie polską działalność katolicką. Możeby należało włożyć to na zakrystjanów, ażeby co sobota i przed każdem świętem usuwali takie „nieaktualne“ plakaty.

Z życia Ligi katolickiej.

W drugie święto Wielkanocy odbył się w Waksmundzie koło N. Targu, staraniem Ligi parafjalnej wiec katolicki w obronie nierozerwalności Sakramentu małżeństwa. Przemawiali ks. katecheta Ludwik Mirek i kierownik szkoły, p. Michał Pachucki, który wygłosił starannie opracowany referat.

Tłumnie zebrani parafjanie uchwalili rezolucję, żądającą uporządkowania ustawodawstwa małżeńskiego w myśl prawa Bożego i Kościelnego, wzywając swych posłów, aby innej ustawy nie odważyli się odgłosować. Rezolucję opatrzono podpisami i wysłano do Sekretarjatu Ligi (Kraków, ul. Sienna L. 5).

Nasza nadzieja i radość.

W dniach 7. i 8-go b. m. odbyły się w Krakowie dwa ogromnego znaczenia zjazdy: 7-go odbył się zjazd „Związku katolickich stowarzyszeń młodzieży żeńskiej“, 8-go zaś zjazd patronatów „Stowarzyszenia Młodzieży Męskiej“.

Praca nad młodzieżą żeńską w diecezji krakowskiej rozpoczęła się już przed wojną i doprowadziła do pomyślnych wyników. **Dzisiaj istnieje na terenie diecezji krakowskiej** 73 stowarzyszeń, powstaje pięć nowych, czyli razem **78.** Liczba członkiń **dochodzi do 4 tysięcy.** Pomyślnym objawem w pracy organizacyjnej jest coraz żywszy udział pań z inteligencji (szczególnie pań nauczycielek), które w stowarzyszeniach pełnią zaszczytną funkcję kierowniczą jako dyrektorki.

* * *

W roku 1925 było 89 Stowarzyszeń młodzieży męskiej na terenie archidiecezji krakowskiej czynnych (6 upadło, a 19 nowych powstało); były one zorganizowane w 12 okręgach z sekretarzami okręgowymi na czele. Sprawozdania nadesłało 56 stowarzyszeń (reszta z powodu dopiero zarządzonych walnych zebrań, nie mogła ich zestawić), liczących 2.419 członków.

Działalność „Stowarzyszeń“ objęła wychowanie religijne (70 wspólnych Komunij św., 37 seryj rekollekcyj i 51 obchodów „święta młodzieży“) — pracę oświatowo-kulturalną (zebrań 1.085 z 748 referatami; książek w bibljotekach 5.347, — przedstawień teatralnych 205, — 27 stowarzyszeń ma własne lokale, 7 stowarzyszeń ma własne orkiestry) i wychowanie fizyczne. W patronatach było zajętych 169 osób w 39 Stowarzyszeniach.

Oba zjazdy zaszczycił swą obecnością Książe-Metropolita Sapieha. W swych obu przemówieniach kochany przez wszystkich Arcypasterz, kładł wielki nacisk na pracę w poszczególnych stowarzyszeniach na terenie parafji. Wyraził swą szczególną radość, że w pracy nad młodzieżą pozaszkolną, tak piękny udział bierze inteligencja, a zwłaszcza nauczycielstwo.

I rzeczywiście oba zjazdy były radosną zapowiedzią szlachetnej współpracy duchowieństwa z nauczycielstwem. Wyda to pomyślne owoce w urobieniu dusz młodego pokolenia, do którego pracy tak wielkie nadzieje przywiązujemy.



Paryski arcybp. kard. Dubois został oznaczony przez rząd polski wielką wstęgą Orła Białego.

Na zjeździe młodzieży żeńskiej przewodniczyła prezesowa tegoż Związku, p. Sapieżyna, na zjeździe męskiej młodzieży p. dyr. Polaczek z Krzeszowic. Z ramienia Kuratorjum obecni byli na zjeździe pp. Dr. Zazuła i wizytator Drzeziński.

Referaty wygłosili: Ks. Ludwik Kasprzyk o zadaniach stowarzyszeń młodzieży żeńskiej, p. prof. Jelonek o konieczności pracy organizacyjnej wśród młodzieży pozaszkolnej (męskiej) i o duchu, jakim się ma przejąć. Ks. L. Biłko przedstawił system organizacji.

Obu związkom i ich kierownikom gratulujemy pięknych wyników i prosimy o dalszą, wytężoną pracę w tym kierunku, bo dzisiejsze zgangrenowane społeczeństwo musi zastąpić zdrowy, na zasadach religijno-moralnych typ obywatelstwa.

Niestrudzonym sekretarzem generalnym związku męskiego jest Ks. Dr. St. Pankiewicz, żeńskiego Ks. Mateusz Zdebski.

* * *

FOTOGRAFJE ze Zjazdu młodzieży żeńskiej są do nabycia w Sekretarjacie Związku, po 3 złote. — Duży format, na trwałym kartonie.

Plemię Burzymurków.

(Wrażenia z podróży).

Snując nić długą zadumań porównawczych, uwijałem się skrzętnie, jak szkolarz, po omroczonej pustką wakacyjną auli i przebiegałem kurytarze i sale, co przesłonięte niczem nieza-

mąconą ciszą słoneczną, świadczyły, że życie uniwersyteckie uszło stąd całkowicie i że wakacje, jakie tu rozłożyły się namiotem martwego opuszczenia, to wakacje już wieczyste, które się nigdy nie skończą. Wkońcu wydostałem się z przewodnikiem na ulicę i, chcąc go pożegnać, sięgnąłem po pugilares, gdy nagle oczy moje oparły się o smukły, ceglany, fabryczny komin, buchający kłębami dymu, tuż przy gmachu najwyższej uczelni.

— Czyżby i to był wiek czternasty? — zagadnąłem złośliwie, wskazując ręką.

— Niema co mówić, ładny zabytek przeszłości bohaterskiej — dodałem z przekąsem.

— Co to za komin? — zapytałem.

— To drukarnia — odpowiedział, rumieniąc się, przewodnik.

— Uznaję — ciągnął dalej — że to jest rażące i że rząd powinien był poszukać sobie miejsca na drukarnię wszędzie indziej, tylko nie tutaj, lecz cóż robić, stało się i na to, przynajmniej na razie, niema rady.

— Cóż to za drukarnia?

— *Wiener Zeitung.*

— Jakiej partji politycznej jest ten dziennik?

— Jest to gazeta bezpartyjna, państwowa; redakcja i administracja rozłożyła się w samym gmachu, na użytek zaś drukarni oddano ten zakątek.

— Muszę panu wyznać bez ogródki, że nie spodziewałem się spotkać w Wiedniu, środowisku bądź co bądź kulturalnem, takiego kawałka barbarzyńskiego, jak ten. Gdyby jeszcze szło o zabytek inny, mniej drogocenny, to pal cię sześć! ale uniwersytet? *Rudolfina?* Możnaby od kierowników tego miasta żądać trochę więcej pietyzmu dla dzieł odległej przeszłości, mimo że dzieła te nie służą dzisiaj tym celom, jakim służyły dawno.

Trzeba bowiem zaznaczyć, że od r. 1884, w którym na *Ringu* stanęło wielkie zabudowanie nowego uniwersytetu, dzieło Henryka Ferstela, jest *Rudolfina* pustą i życie katedr i ław studenckich zupełnie w niej zamarło.

Przeniosło to życie swe łopocące chorągwie do gmachu nowego, pozostawiając w opustoszałem osieroceniu *Bäckerstrasse* i *Sonnenfelsgasse*, dwie stare ulice, tworzące główny zrąb wiedeńskiego *Quartier Latin* i tak doskonale zachowujące charakter dawnych wieków, że, gdy się w nich stanie, ma się wrażenie, jakoby przeszłość związała je niegdyś przysięgą wierności, której one niewzruszenie, wzorem dawnych tytanów woli, po dziś dzień dotrzymują.

Opuszczając cichy zaułek dawnych magistrów, bakałarzy i żaków, skierowałem kroki w stronę uniwersytetu nowego, stojącego w rynku — *Ring des 12 November* — w miejscu, do którego przebić się stąd trzeba przez wiele ulic, uliczek i placów. Zanim tam dotarłem, pogrążyłem się w zadumie, przegryzając i nijak nie mogąc strawić narzucającego się przekornie obrazu starożytnej uczelni, do której przyczepił się, jak pasożyt, czerwony komin fabryczny, mącąc wiekowy jej nastrój. Kojarzyły się z tym obrazem wszystkie przykre wspomnienia z Krakowa i Pragi, gdzie również średniowiecze pozostawiło po sobie roz-

---

MARJA CZESKA-MĄCZYŃSKA.

28

DYMY.

Powieść z życia ludu.

Nie było.

Ktoś zabrał strzelbę, może Sulimirski ją znalazł, może ktoś ze wsi podpatrzył kryjówkę i do dworu doniósł, albo ją sobie przywłaszczył, dość, że jej nie było.

Skończyło się.

Teraz mu już nie chodzić o świtaniu w bór, rozkosz oczekiwań, niepokój myśliwca tropiącego zwierzynę, radość zwycięscy, wszystko to zginęło wraz ze strzelbą.

Przez tyle lat wkładał ją tu, w tę dziuplę dębu, tak spokojnie, jak gdyby ją wieszał w szafie i o to niema jej, niema!

Dławiła go wściekłość i łzy.

Nienawiść rozpasała się w nim do szału.

O gdyby mieć tu tego, co wziął!

Zacisnęły się w pięści potężne ręce, z taką siłą, aż z pod paznokci wbijających się w dłonie, krew trysnęła.

Siedział skulony, żując pomysły zemsty, godziny tak przeszły, czy chwile...

Nagle uskoczył w bok, bo wprawne ucho posłyszało szmer, trzask gałęzi pękającej pod czyjąś stopą.

Do mchów przylgnął jeno oczy mściwe, złe, zrozpaczone ogarniały las, czekały...

Nagle dojrzał Sulimirskiego, gajowy miał swoją broń przerzuconą przez ramię, a w ręce niósł jego strzelbę.

Szedł w pełni słońca, gwizdając z cicha, cieszył go żar lipcowy, zapach macierzanek rozkwitłych po graniach, życie. A zaczajony w mchach Józek widział tylko swoją ukochaną strzelbę w smagłej, szczupłej ręce tamtego.

Porwał się nagle, jak dziki kot do skoku, spreżył i runął...

Dwie potężne dłonie schwyciły Sulimirskiego za gardło. Obłąkane nienawiścią, krwią nabiegłe oczy, zaświeciły nagle przed nim, jak ślepia wilka w noc ciemną.

— Puść!

Atak był tak niespodziewany, tak gwałtowny, że obaj zachwiali się, obalili, na miękkie wrzosowiska łąki podleśnej, zawrzała walka.

Śmierć... przesunęło się w myśli Sulimirskiego, przywalił go przeciwnik całym ciężarem, przygniótł swem młodem, rosłem ciałem, czuł jego gorący, cuchnący wódką oddech na swojej twarzy, dławił go chwyt potężnych rąk, dolatywał

gałęzioną girlandę bastjonów, strzelnic, wieżyczek i baszt, i gdzie taksamo rozpleniła się niedorzeczna, pieniędzmi i władzą uposażona, i, jak pień drzewa, bezduszna chimera różnych burzyi szpecimurków, wystawiająca tysiące niszczycielskich macków na wszystko, co w sen starodawny wprzęgła patyna wieków.

Czyż przykładów na to, jeden z nich nawet bardzo świeży, nie mamy aż zadosyć w Krakowie? Proszę sobie przypomnieć, co się działo i jak do żywego dotknięta została opinja publiczna grodu podwawelskiego, gdy pewne środowisko kapitalistyczne rozpoczęło kroki, by uzyskać zezwolenie miasta na budowę giełdy koło Dominikanek na Gródku? Krzyczeliśmy na gwałt i robili, co tylko godziło się robić, aby przeszkodzić postawieniu brutalnej amerykańskiej skrzyni w śródmieściu najdroższego z polskich miast. Zdawało się, że głos sprzeciwu osiągnie skutek pożądany, że oprą się czynniki najwyższe i duch krakowski zatriumfuje!

Stało się, niestety, inaczej! Obrzydliwa budowa powstała, cielskiem potwornem zagarnęła dużą połać plant i przygniotła głęboką pokorę starogrodeckiego klasztoru; krzyczącą białością potwornych ścian zagłuszyła modlitewną zadumę małych jego okienek i silnych skarp. i pozostała, jako kamienne świadectwo niedołęstwa osób powołanych, co przecież urzędują na to, aby w obronie piękności tradycyjnych raczej paść, niż ustąpić!

Lecz podobno w Polsce znajdzie się wszystkiego wbród i skarbów naliczyć u nas można niebosiężne góry, brak nam tylko skarbów moralnych, których nieoceniona wartość mieści się cała w jednym wyrazie: c h a r a k t e r.

Jak unikać sprzeczki w małżeństwie?

Niewiadomo, czy poeta i mędrzec grecki Simonides żonaty był, czy bezżenny — ale prawdopodobnie miał żonę, gdyż mawiał, iż nie zdarzyło mu się nigdy żałować, że milczał, za to często żałował, że mówił.

Nie potrafią być szczęśliwymi w pożyciu małżeńskiem ludzie, którzy nie posiadają sztuki milczenia i takiego panowania nad sobą, by w pierwszej chwili uniesienia powstrzymać się od wyrażenia niechęci czy gniewu, ostrego sądu lub docinka. Gdy ochłoną, przychodzi im na myśl, że postępek, który ich tak rozgniewał, tem lub owem da się usprawiedliwić i wytłumaczyć. Ale to żal po niewczasie, ostrych słów już nie naprawi, a nic tak ludzi nie rozdwaja, jak częste doznawanie przykrości, którą jedno drugiemu wyrządza.

Najszczęśliwszy byłby podobno związek głuchoniemego z niewidomą, że jednak częściej żenią się ludzie, nie pozbawieniu wzroku i słuchu, więc niema innej rady, jak z umiarkowaniem używać tych zmysłów, a przedewszystkiem — mowy. Mężczyźni często z nudów zaczynają gderać na wszystko, dogadywać żonie, dokuczać jej, a nabrawszy tego nałogu, sami nie wiedzą, czemby innem czas wypełnić. Naturalnie są też i żony, umiejące odpłacać tą samą monetą, a taka co „nie zapomina języka w gębie“, zawsze jeszcze coś znajdzie do powiedzenia, nawet wtedy,

---

charkot słów nienawistnych. Całym wysiłkiem ramion i kolan usiłował odeprzeć napastnika, usiłował wydostać się z pod niego, ale czuł, że słabnie, że tamte ręce nieubłagane wpijają mu się coraz silniej w gardło, brakuje mu tchu, rozpływa się zakrzepła w nienawiści twarz Józka w jakiejś tęczowej mgle, a bór cały nagle śpiewa, śpiewa, a jemu ręce opadają bezwolnie, przestają się bronić, przestają walczyć.

— Chryste...

Nie będzie mieć moje dziecie ojca....

Przesuwa się myśl nagła w zalewającej mózg mgle osłabienia, bronić się, bronić...

Ręka szuka strzelby, co się z niej wysunęła przed upadkiem, szuka po omacku, palce zaciskają się kurczowo.

Strzał.

Grań go powtórzyła grani, drzewo, drzewu...

Józkowe ręce powoliły bezwiednie, spojrzał poza siebie, lęk przebiegł go dreszczem. Spojrzał w siną, czarną prawie od naporu krwi twarz gajowego, na oczy szeroko rozwarte i w mózgu przez opar wódki i krwi przesunęła się myśl.

— Dyć-em zabił!

Zabił!

— Jezu!

Zrozumiał, wytrzeźwiał nagle, porwał się, strzelbę swoją z bezwładnej ręki Sulimirskiego wydarł i rzucił się w las. Gnał bez drogi, przewracał się, wstawał, gnał znowu byle dalej, byle dalej...

* * *

Po długim omdleniu Sulimirski oprzytomniał, noc już nad światem była, ocuciła go rosa chłodna, wonna. W pół przytomnemi oczyma patrzył w gwiaździsty nieba bezmiar nad sobą, drgający miljonami świateł. Wicher grał w gałęziach drzew, pachły jodły, skąpane w rosie, macierzanki. Zdawało mu się, że wraca skądś z bardzo daleka, wraca niemal z żalem.

Po chwili dopiero odczuł dojmujący, przykry ból żył nabrzmiałych, opuchnięte gardło paliło... wracało życie i fizyczny ból.

Przypomniał sobie wszystko, podniósł się z trudem, strzelbę z ramienia zdjął i opierając się na niej, ku domowi szedł. Nigdy droga nie wydała mu się tak długą, tak ciężką bezmiernie, brakowało mu tchu, krew w skroniach waliła, jakgdyby je rozsadzić chciała.

Spoczywał co chwilę i wlókł się dalej.

Z jakąż radością dojrzał strumień i światło snujące się z okien swojej chatyny, drżące, żółte, niepewne światło naftowej lampki.

(Ciąg dalszy za tydzień).

gdy sprzeczka już się zdaje ukończona, jakby tym ostatnim strzałem chciała powiedzieć: „moje na wierzchu“. Czy nie należałoby jej aresztować za noszenie ukrytej broni? Bo to „moje na wierzchu“ to nietylko broń, ale niebezpieczna maszyna piekielna. Mąż i żona tak samo nie powinni walczyć o jej posiadanie, jak nie wydzieraliby sobie bomby, mogącej lada chwila wybuchnąć. Co komu przyjdzie z tego, że w sprzeczce na swojem postawi? Zwycięstwo takie jest zawsze przykre i bezpożyteczne, a obu stronom tylko gorycz przynosi.

Sprzeczki, pełne niby dowcipnych docinków, mogą bawić postronnych widzów, ale samych walczących koniecznie, unieszczęśliwić mogą. Daleko jest lepiej wcale nie posiadać daru odcinania się, niż używać go po to jedynie, by ostrem słowem ranić boleśnie tych, którym ślubowaliśmy miłość.

Czasem łagodna odpowiedź uśmiesza gniew i powstrzymuje gderanie, ale najlepiej jest zaprzestać rozmowy, gdy jedno z małżonków widzi, że drugie jest w stanie rozdrażnienia. Milczenie jest wtedy naprawdę **złotem,** ale nie ma to być zacięte milczenie kobiety upartej, która, czując się obrażoną, lub nie mogąc na swojem postawić, torturuje męża i całe otoczenie. Prawdziwie dobra i kochająca żona zawsze znajdzie w swem sercu sposób usprawiedliwienia i wytłumaczenia złego humoru męża i szukać będzie sposobności, by, nim słońce zajdzie, rękę wyciągnąć do zgody.

W porządnych domach pranie odbywa się w domu, brudów nie wynosi się za próg, tak też i sprzeczki małżeńskiej nie trzeba wynosić do sąsiadów, chyba w wyjątkowych razach, by u ludzi poważnych i rozumnych zasięgnąć rady.

Pewna wieśniaczka, której gwałtowne usposobienie męża dało się bardzo we znaki, poszła się raz użalić do znajomego aptekarza. Mądry staruszek dał jej we flaszce lekarstwo, upominając, aby, jak tylko mąż gderać i wymyślać zacznie, wodę tę do ust wzięła i trzymała przez cały czas. Kobiecina parę razy z powodzeniem tego środka użyła i, będąc znowu w mieście, dziękować zaczęła aptekarzowi i dopytywać się, z czego się to lekarstwo robi. Dowiedziała się wtedy, że nic w niem nie było, prócz „czystej“ ale... wody, i że nie ów płyn, ale milczenie pomogło.

Z. A.

Co czytać.

ŻYWOTY ŚW. MATEK, napisał Ks. Bolesław Żychliński. Wydawnictwo Towarzystwa „Bibljoteka Religijna“. Lwów, ul. Ormiańska 13. Stron 120.

Matka!... Słowo to zawiera tyle czaru, potęgi, godności, miłości, ducha ofiary. Któż z nas nie uwielbia swojej matki? Któraż z matek nie pragnie być dobrą, bardzo dobrą matką? Takiej chyba niema Książka Ks. Żychlińskiego jest miłem, prosto i w duchu polskości napisanym podręcznikiem dla matek chrześcijańskich. Autor przedstawia do naśladowania 10 świętych lub świątobliwych matek, wśród nich cztery Polki: Adlejda, Jadwiga, Jolanta i Kunegunda.

Dzisiaj, gdy w sferach „wolno“ — myślących pokutuje duch i próba, aby wychowanie pozostawić wyłącznie szkole, książka ta powinnaby się znaleźć w rękach każdej matki. Bogata treść zadowoli najbardziej wykształconą matkę, a prostota stylu ułatwi czytanie i dla matek wiejskich. Gorąco tę książkę polecamy.

POSELSTWO ANIOŁKA W NIEBIE DO MATKI NA ZIEMI. Listy Ks. Karola Antoniewicza T. J. Wydawnictwo XX. Jezuitów. Kraków, ul. Kopernika L. 26. Cena 70 gr. Wydanie drugie.

To arcymilutkie wydawnictwo nie potrzebuje zbyt wielkiej pochwały, bo jest dobrze znane. Serca matek naszych mają swe bóle, zwłaszcza po zgonie lub w chorobie ukochanych dziatek. W tych chwilach bólu i smutku są te listy prawdziwem ukojeniem.

SZKIC DZIAŁALNOŚCI KOŚCIOŁA, napisał ks. prof. Rektor Wł. Chotkowski, 100 stron druku 8-ki, cena 2 zł. z przesyłką pocztową, do nabycia w drukarni Prawdy, Kraków, ul. Stolarska 6.

Tak dobrze i krótko ująć dzieje Kościoła, jak to uczynił w swem dziełku ks. prof. Chotkowski może tylko wielki znawca zrobić. Dzisiaj, gdy różni niepowołani i na sprawie się nie znający „pisarze“ rozszerzają najokropniejsze bajki o Kościele katolickim, książka może spełnić zaszczytną rolę uświadomienia szerokich mas o wiekopomnej, dobrodziejstw pełnej praw Kościoła.

DREWNO, napisał M. Padechowicz, stron 68. Do nabycia u autora, Kraków, ul. Smoleńska 9.

Bardzo potrzebna, wprost niezbędna książeczka dla każdego miłośnika przemysłu drewnianego. Uwzględnione wszystkie drzewa, od wierzby aż do limby.



Wielką sensacją całego świata był rewolwerowy zamach na Mussoliniego w Rzymie. Mało brakowało, że go jakaś angielka nie zastrzeliła. Nasuwają się przy tej sposobności smutne uwagi.

Nawet największy wróg Mussoliniego nie może mu odmówić jednej zasługi: że w krótkim czasie postawił Włochy na stanowisku mocarstwowem.. Można się godzić lub nie z jego metodami, czasem należy je nawet napiętnować, ale każdy, bezstronnie na bieg dziejów świata patrzący musi przyznać, że jest to wielki partjota włoski.

Kto go chciał zabić? Przeciwnik polityczny. Tak to **zaślepienie polityczne, zamurowanie się w ciasnych ramach jakiejś partji, szkodzi nieraz sprawom ogólnym-ojczystym.** Widząc te ujemne strony partyjnictwa politycznego, redakcja nasza czuje się zachęconą do wytrwania przy swoim sztandarze. Owszem, polityka jest potrzebną, ale ta, która buduje państwo, a nie partje.

Czytanie bezpartyjne, wykazujące błędy tej smutnej metody politycznej, osłabia to partyjnictwo i stawiając przed oczy czytelników głównie dobro ogółu z miłości Boga i bliźniego objętego.

U NAS W KRAJU

cisza przed burzą. Rząd ma już słabe nogi, w łonie koalicji rządowej coraz większe nieporozumienia.

Złoty spada z tego powodu, że brak silnej i jasno wytkniętej polityki gospodarczej! Na uzdrowienie tych chorobliwych kłótni partyjnych w łonie Rządu miałbym taką radę: **dać pp. ministrom i posłom pokarm, jaki jedzą bezrobotni, zmniejszyć im pensje do pensyj, jakie mają bezrobotni i zredukowani — choćby na tydzień, — to ich może ogarnie trwoga o przyszłość narodu, gdy ich własna będzie zagrożona.**

Przemówieniami, interpelacjami nie uleczycie panowie ran dzisiejszych. **Chcemy pracy, poświęcenia, na to was wybrano!** Tak, pracy i poświęcenia dla Ojczyzny. **Wujaszek.**

KRONIKA

ŚMIERĆ WIELKIEGO PATRJOTY. Dnia 7-go kwietnia zmarł w Nowym Targu Dr. Jan Bednarski. Działalność tego niezwykłego człowieka przedstawimy w numerze następnym.

UROCZYSTE NABOŻEŃSTWO MIESIĘCZNE. Staraniem Sodalicji św. Piotra Klawera dla misyj afrykańskich odbędzie się w kościele św. Marka dnia 18. kwietnia o godzinie 5-tej popołudniu Uroczyste Nabożeństwo z wystawieniem Najśw. Sakramentu i kazaniem misyjnem. O jak najliczniejszy udział w nabożeństwie prosi uprzejmie wszystkich Członków i Przyjaciół dzieła misyjnego

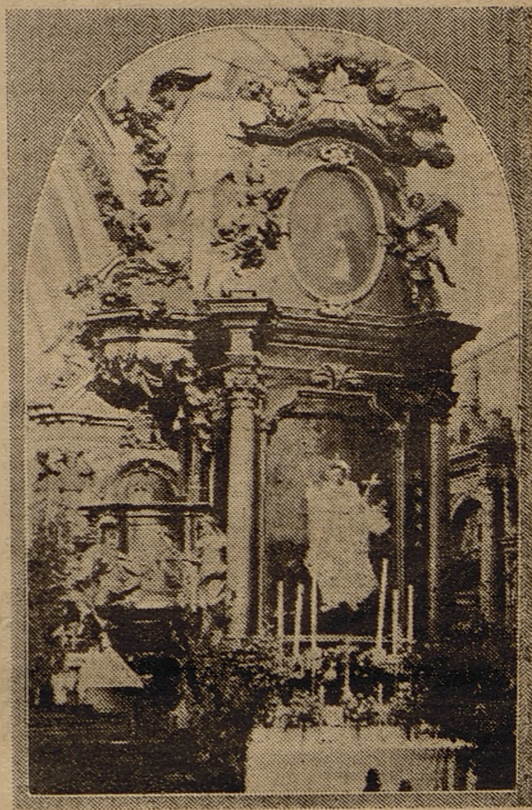
Sodalicja św. Piotra Klawera.

KAPLICA W HOTELU. W stolicy Hiszpanji w Madrycie postawiono nowego typu hotel, w którym znajduje się i obszerna kaplica, aby goście mogli na miejscu zadośćczynić swym religijnym obowiązkom. Hotel się nazywa: „El Infante Don Juan“. Oprócz kaplicy jeszcze na każdym piętrze jest pokój, przeznaczony na modlitwę.

Dla naszych „katolickich“ uszu brzmi to tak dziwnie.

Komunikat.

W kościele św. Jacka w Warszawie odpust św. Wincentego Ferrerjusza przełożony został z drugiego święta Wielkanocy na niedzielę, dnia



Obraz św. Wincentego Fer., sprowadzony z Turcji do Polski w r. 1650, koronowany w r. 1651.

18. kwietnia. Po nieszporach odbędzie się zebranie III. Zakonu św. Ojca Dominika.

Po odpuście św. Wincentego Ferrerjusza rozpocznie się siedmiopiątkowe nabożeństwo na prymarji o godzinie 6½, połączone z poświęceniem wody dla wiernych, którzy tę wodę piją i oczy nią obmywają oraz zabierają do domu.

15-LECIE HARCERSTWA POLSKIEGO. W dniach 10 i 11-go bm. odbył się w Krakowie imponujący zjazd harcerstwa polskiego. Założyciel harcerstwa był protestantem, w Polsce jednak ruch ten wśród młodzieży szkół średnich ma charakter wybitnie katolicki. To też Książe - Metropolita Sapieha z radością pospieszył na otwarcie zjazdu, odprawiając w kościele św. Anny uroczyste nabożeństwo.

Ruchliwemu zrzeszeniu życzymy jaknajwiększego rozrostu w myśl ich hasła: W zdrowem ciele, zdrowy duch!

Z humoru.

Mąż (czytając gazetę): „Znów wielkie nieszczęście na kolei. Jakiś człowiek wpadł na szyny i pociąg odciął mu głowę. Brr...!

Żona: Ach, Boże! A czy zmarł ten biedak?

Mąż: Tego nie wiem, gazeta o tem nie pisze.

* * *

Nowoczesna służąca: Ja panią bardzo proszę, aby się ubrała porządnie, gdy pójdziemy na spacer, bo ja wszędzie mówię, że służę w lepszym domu.

Szczotki
do włosów, ubrań, zębów i paznokci
oraz wielki wybór
grzebieni
poleca
Stefan Sobolski Rynek 32
Kraków

Wystawa i sprzedaż: Straszewskiego 28.
Pracownia: Kazimierza Wielkiego 82.

„MAKATA“

Poleca gotowe kilimy, dywany perskie i smyrneńskie o oryginalnych wzorach. Wykonane z zagranicznego surowca. Przyjmuje i wykonuje zamówienia stylowe dla kościołów, will i t. d. Udogodnienia przy zakupnie. 2.9

KADZIDŁO KOŚCIELNE

Oliwa do świecenia
Lampki i knotki Guillona
Pasty do zębów — Mydła — Woda kolońska
Esencje do wódek Karty do gry.
Kalosze. — Pastę do obuwia
poleca
Tow. Handl. „REIM“ Kraków Rynek 37.

FISHARMONJE

FORTEPIANY nowe i używane **PIANINA**
najkorzystniej tylko u firmy
Wł. Boloński (Z. Raba nast.)
Kraków, Rynek Gł. 34. Pałac Spiski.

W. HALSKI KRAKÓW Sukiennice 21-22. i ul. Szewska 23.
Skład naczyń kuchennych i narzędzi
poleca **wirówki szerafikie.** Na raty!

Bardzo ważne
dla P.T. Duchowieństwa i Nauczycielstwa.

BEZPŁATNĄ naukę dywanów strzyżonych
!! bez warsztatu !!

organizujemy w każdej miejscowości z dostawą materjału i stylowych wzorów.

Dorównują oryginalnym Smyrneńskim i perskim!

Ceny konkurencyjne. **Ulgi w spłatach.**

Dla Przyjezdnych nauka przyśpieszona.

Wełnę, pierwszorzędną, wszystkie kołdry, podszewkę „prima“ i wzory wysyłamy szybko i starannie. Także rozpoczęte roboty. Wyjaśnienia odwrotnie. Prosimy dołączyć znaczki pocztowe.
„SMYRNAPERS“ Katolicka Wytwórnia Dywanów
H. i M. Godziszewska, Kraków, ul. Pijarska 5/III.

Browar Krakowski Jana Götza Kraków, ul. Lubicz 17.

wyrabia **„MALTYNĘ“** wyrabia

zawierającą wysokowartościowe składniki odżywcze i ułatwia trawienie, co stwierdza świadectwo Krakowskiego Towarzystwa Lekarskiego i Komisji przemysłowo-lekarskiej tegoż Towarzystwa.
Maltyna nadaje sie znakomicie do odżywiania osób osłabionych, chorowitych jakoteż dzieci.
Maltyna jest też skutecznym środkiem przeciw kaszlowi. — **Maltyna** jest do nabycia we wszystkich aptekach i droguerjach.

Za redakcję i wydawnictwo z ramienia Katol. Związku Wyd. odpowiada Ks. Ferdynand Machay.
Drukarnia „Głosu Narodu“ w Krakowie pod zarządem Romana Ferka.